

ROZDZIAŁ V

BITWA POD SKŁOBAMI I STEFANKOWEM

Gdy szarżyć na niebie zaczęło; dnia 20 kwietnia, zawiadomiono mnie, że wydalone wczoraj kobiety, jakimś sposobem dostały się z powrotem w nocy do obozu, nocowały w tymże, i właśnie teraz wynosiły się z niego. - Natychmiast zdałem raport naczelnikowi o tym nieporządku wedet. Rozpustnice te zuchwałe, zaraz za linią wedet przytrzymane i sprowadzone, po odliczeniu każdej po kilka różg na drogę, już na dobre precz wy-prowadzono.

Dnieć zaczynało. Czachowski na czele: jednej kompanji swojej i jednej Łopackiego, w broń palną zaopatrzonych, i dwóch kompanij: swojej i galicyjskiej kosynjerów, oraz kawalerji: całej Stamirowskiego wraz z jej dowódcą, oraz majorem Łopackim, - zdając zarazem ogólną komendę nad resztą naszego i galicyjskiego oddziałów, na zostającego w obozie ze swym oddziałem Kononowicza - wyruszył z niego na zachód.

Gdyśmy doszli do traktu bitego w prawo, pomaszerowaliśmy nim na północ, przy zachowaniu zbyt rozciągniętego szyku naszej kolumny. Stamirowski, z dodanym mu do towarzystwa naszym kawalerzystą, jechał sam w szpicie naszej kolumny.

Było już dobrze po godzinie 7., gdy szpica nasza doszła, w lasach wsi Skłoby, niedaleko zakładu fabryk żelaznych rządowych, domków górniczych, zwanych Stefanków. Naraz z lasu, po lewej stronie drogi, zagrziała do niej długą linią salwa karabinowa. Z tej przekonaliśmy się dopiero, że wróg, naprzeciw któremu maszerowaliśmy, lepiej był od nas obsłużony przez szpiegów. My bowiem nie wiedzieliśmy dokładnie jak obecnie daleko jest od nas ?

Ukrył swych żołnierzy po za drzewami, ażeby niewidzialnie mógł obserwować każdego, ktoby się zjawił na trakcie.

Dlatego też Stamirowski z Gawrońskim nie ostrzegli Moskali, choć już na sam środek ich szyku wjechali.

Za głowę Czachowskiego rząd carski wyznaczył wysoką cenę. Moskale przed nami będący, a nawet i inni, nie znali osobiście Naczelnika. Gdy przeto ujrzeli przed sobą, ubranego tak kosztownie z taką fantazją i ozdobami, a nadto przepasanego pułkownikowską szarfą, Stamirowskiego - byli najpewniejsi, że mają przed sobą Czachowskiego.

Nie zważając przeto, że przez zawczesne danie ognia do dwóch tylko powstańców, zdradzą własną zasadzkę; sypnęli ogniem całym frontem, aby tylko domniemany Czachowski im nie uszedł. Tym sposobem ocalili nas od klęski, jaką mogli byli nam zadać; a sami sobie zgotowali zgubę.

Stamirowski, tylko ranny lekko w lewą rękę, z Gawrońskim, którego kule ani drasnęły, zawrócili w miejscu, i jak wiatr w tył do nas uszli. Pędząc z daleka, Stamirowski, wydawał już komendę swej kawalerji, aby cofnęła się w tył; ale ta nie czekając na komendę, zaledwo ujrzała i usłyszała piekielną salwę Moskali, sama dawno drapnęła za piechotę.

Grzmot, jadący konno warjergardzie, zaledwo usłyszał ogień moskiewski, wnet

pospieszył do Czachowskiego, który znalazł się podczas niespodziewanego przywitania Moskali w samym środku i podązał teraz na czoło kolumny.

- Dopadłszy wodza, Grzmot zawołał:

- Ojczy! daj rozkaz, aby dwie kompanie kosynjerów, które tu nie będą potrzebne, poszły za mną. Moskale zrobili na nas zasadzkę, a ja zaś swoją kompanją i kosynjerami tyły im zabiorę; gdy ty ich tu zabawiać będziesz. Zwycięstwo pewne. Litwina prawosławnego, - należał do pułku Smoleńskiego, konsystującego w Kielcach a z którego Grzmot wyszedł właśnie do powstania.

- Ach! i ty odstępco tu - wrzasnął Moskal podoficer - przeciwko nam!

Dobrogojski, który dotąd trzy razy z rewolweru wypalił, widział to, i chociaż łatwo mógł dawszy skok w prawo zasłonić się drzewem od rozwścieklonego podoficera, nie uczynił jednak tego; lecz stojąc w miejscu, złożywszy się do niego, po raz czwarty wystrzelił. Lecz tą razą piston spalił a rewolwer nie wystrzelił. W ślad Moskal, podoficer, wystrzelił celnie, i trafił w samą brodawkę prawej strony piersi rycerskiego Dobrogojskiego; kula przeszła takowe na wylot.

Szlachetny, waleczny a mężny wódz zachwiał się; podskoczyli do niego dwaj sąsiedni nasi strzelcy, i chwycili go w swe objęcia. Słabym, gasnącym głosem, opuszczając rękę z rewolwerem, ale zrozumiałe jeszcze wyszeptał:

- Monowski⁷⁵! tobie oddaję komendę...

A gdy mu w lot na piersiach mundur rozpięto, chcąc Czachowski wydał żądane rozporządzenie. Stawecki z kosynjerami przeszedł pod rozkazy Grzmota.

Przypadł teraz do nas z powrotem Grzmot, zsiadł z konia i oddał go kosynjerowi. Sam zaś stanął na czele naszej kompanji, stojącej zupełnie na widoku Moskali, a przeszło na 1200 kroków od nich oddalonej. Kompanja Galicyjska, przez Łopackiego dowodzona, rozpoczęła ogień plutonami a reszta kolumny ustępowała z gościńca za drzewa.

Naszą zaś kompanję sprowadził w lewo z traktu. Następnie poleca Staweckiemu, cofnąć dwie kompanje kosynjerskie, które postępowaly w środku kolumny, i za nami postępować.

Gdyśmy uszli około 600 kroków, prostopadle od drogi na zachód, wydał komendę półgłosem, choć to było w głębi lasów:

- Kompanja lewem ramieniem, naprzód «marsz!»

A po wykonaniu tego, dodał:

- Kompanja prosto, naprzód «marsz!»

Uczyniliśmy to, idąc teraz na północ, a równolegle do traktu. Kosynjerzy szli za nami.

Słyszeliśmy silne salwy karabinowe i okrzyki: «hura! o i «ura!» które powstańcy i Moskale, wciąż ku sobie wysyłali a echo borów wiernie je oddawało i potęgowało.

Moskiewskie były silniejsze, bo kilka razy liczniejsze, a strzały głośniejsze, bo ciągłymi prawie salwami, jako nie oszczędzających amunicji; podczas gdy powstańcy, cierpiąc zawsze na brak jej, strzelali rzadko, ale celnie.

Gdy Grzmot obliczył, że kompanja nasza stanęła w głębi lasu równolegle po za frontem moskiewskiej linji bojowej, a czego dowodziły wprost, przed nami odzywające się strzały, i zbyt wyraźne, silne okrzyki: «urra! urra! urra!» wciąż wrzeszczącej - zatrzymał nas i kazał nam zrobić front do pleców nieprzyjaciela.

Następnie rozsypał kompanję w jedną linję tyraljerską. Za nami ustawił

⁷⁵ Trudno ustalić o kogo chodzi.

kosynjerów, o trzy kroki odstepu, a w jedną linię, również długą jak była strzelców. Kazał kosynjerom kierować się głównie, na pozostawione przez nas luki; wszystkim zaś nam, broń Boże, dopuścić się jakiego wypadkowego strzału, rozmowy, łamaniu gałęzi itp. Kazał iść na palcach. Stanął sam, z rewolwerem w ręku, w środku i półgłosem wydał komendę - «naprzód!»

Ruszywszy z miejsca, posuwaliśmy się równo a bacznie i ostrożnie, zachowując nakazane przez ukochanego dowódcę odstepy. Moskale, zajęci ciąglem sypaniem ognia ze swego zakrycia do strzelających do nich Galicjan, którzy podczas naszego zachodzenia tyłów wroga, bardzo mało naprzód się posunęli, - żadnej rezerwy swej w tej stronie nie pozostawili; przeto doszliśmy nieledwo na kilka kroków do ich pleców, całkiem niepostrzeżeni.

Grzmot, widocznie dla lepszego zamaskowania się do ostatniej chwili, podnosząc rewolwer, wydał ostatnią komendę z moskiewska:

- Koledzy! Moskwa przed nami - ognia! - i jednocześnie z nami, gdyśmy w plecy nieprzyjaciela sypnęli kulami, zaczął sam strzelać z rewolweru.

Ci, co nie mieli bagnetów, zaczęli szybko nabijać broń.

Kosynjerzy tymczasem przebiegli ze swą straszną bronią przez nasze luki, i wraz z bagnetowymi wściekle rzucili się na wroga, tnąc go z tyłu kosami, kłując bagnetami.

Tuż przed nim stał podoficer moskal, który długie lata służył na Kaukazie, poznał po głosie wnet Dobrogojskiego: bo trzeba było nieszczęścia, że obecny dywizjon, dowodzony przez kapitana Nikiforowa⁷⁶, syna lekarza powiatowego z Radomia, renegata zatamować buchającą na dwie strony jego szlachetną krew, lejącą się za Ojczyznę, szukał konający bohater ukrytej na swej piersi fotografii panny P.. z Kielc. a swej narzeczonej; umoczył ją we własnej krwi, i podał nam takową, szepnąwszy:

- Koledzy! to jej na pamiątkę... i w objęciach strzelców stojąc skonał.

Gdy strzelcy nabijający broń, usłyszeli słowa podoficera i spojrzeli na jego złożenie się do Dobrogojskiego, porzucili nabijanie, i z kolbami do góry jak Boża pomsta rzucili się w szeregi moskiewskie, rozbijając głowy wrogów. Moskale o ile trupem nie padli od strzałów, strasznych kos, bagnetów i kolb - rzucali swą broń, błagając o pardon na klęczkach, z rękami nad głowami.

- Zmiłujcie się! moja matka była Polką - krzyczeli niektórzy.

Ale nieopisany szal wzięcia z nich strasznej pomsty za śmierć nieodżałowanego dowódcy bohatera, usunął z serc naszych wszelki ślad uczucia litosci dla tej ciemnej dziczy. Mordowaliśmy wszystkich bez pardonu jak wilki wpadłe do dołu.

Goniliśmy ich zawzięcie, a jako młodzi i lżej ubrani, niczem do tego nieobladowani, dopędzaliśmy żywo i każdy swego upatrzonego siał trupem.

Czachowski widząc, że Moskale po naszej salwie z tyłu już przestali strzelać do oddziału Galicyjskiego i zaczęli przerażeni nieprzytomnie wyskakiwać z lasu na trakt i uciekać jak zające, wstrzymał ogień i z resztą przy nim będących powstańców, galopując, sam poprowadził ich biegiem, na pierzchającego w nieładzie nieprzyjaciela.

Na całą długość naszego frontu, żaden z Moskali, z wyjątkiem oficerów i szarzy, nie wyszedł żywy. Jeńców zaś których chwylaliśmy wprost za kołnierze, w lot rozbrowiwszy, oddawaliśmy kosynjerom z zakazem ich dobijania.

Część tylko lewego skrzydła moskiewskiego jako o połowę przeszło od nas dłuższego, widząc, jaki los spotkał towarzyszy, nie czekając ostatniego rezultatu boju,

⁷⁶ Prawidłowo: Nikiforow.

zaczęła gwałtownie uciekać na północ; przed nią również pośpiesznie uciekały i furgony; a za temi jeszcze dalej, w lewo, kozacy, którzy pierwsi drapnęli z placu, nawet nie racząc obrzeć się w tył, co też tam się teraz dzieje; toż samo i rezerwy wspólnie zrobiły.

Bijący się na lewym naszym skrzydle strzelcy, widząc powyższą rozsypkę, niezajętej przez nich reszty linii bojowej moskiewskiej - pozostawili dobijanie kosynjerom zajętego frontu wroga, a sami rzucili się w pościg za uchodzącymi Moskalami, wołając na gwałt, o wysłanie w pomoc kawalerji dla zaskoczenia i powstrzymania w ucieczce reszty nieprzyjaciela.

Wezwanie powyższe doszło uszu cwałującego z resztą oddziału Czachowskiego. Nie widząc przy sobie kawalerii Stamirowskiego, wysłał po nią na gwałt paru oficerów konno, w tył.

Lecz kawalerja ta zawadjacka, gdy przy rozpoczęciu się bitwy przeleciała jak wichur po obu bokach kolumny w tył, ani weź nie dała się nigdzie w lesie odnaleźć. Gdy w miarę przedłużania się walki, liczba strzałów i krzyków: «hurra!» i «urra!» wzrastała, a do tego echo okolicznych gór i borów do nieskończoności tę wrzawę potęgowało tak że już i przerwy pomiędzy niemi rozpoznać trudno było; lęk ją zaczął taki opanowywać, że powiązała konie do drzew, i gotowała się do drapnięcia dalej w las. Skoro zaś usłyszała naraz zwiększoną ilość strzałów, po wydanej nam komendzie Grzmota, a następnie ich przyciszenie i tylko pojedyncze strzały, tchórze ci, sądząc, że Moskwa nas już zjadła i teraz tylko nas dogryza, spiesznie od koni zaczęli uchodzić w głąb lasu. Oficerowie, wysłani przez Czachowskiego po nich, nie zastawszy ich przy koniach, zaczęli dopiero szukać ich po lesie, i drżących do koni sprowadzać z powrotem.

W miarę jak który w lesie pokończył z moskiewską linią, biegł zaraz na północ, w kierunku powtarzających się rzadkich jeszcze strzałów.

Wypadłem i ja z lasu, i ujrzałem właśnie jak Suski, geometra prywatny z Radomia, wraz z kilkoma powstańcami, ze sztućca belgijskiego, z uchodzących w cwał przez pola niezmiernie daleko trzech furgonów nieprzyjadelskich, siedzących na nich kilku moskali jak gruszki z drzewa zbijali, bez chyby.

Inni zaś strzelcy, którzy przedemną z lasu wypadli, w półkole rozsypani otaczali jakieś ogromne głazy narzutowe, obficie pod wsią Stefankowem leżące a po polach porzrucane. Tu z po za ukrycia, Moskale, co zdołali jeszcze uciec z życiem z lasu, leżąc za nimi, pojedynczo się odstrzelowali. Połączyliśmy się z naszymi, przedłużając ich łańcuch a obchodząc miejsce zasiane olbrzymimi kamieniami, zaczęliśmy z boków razić strzałami, ukrywających za niemi nieprzyjaciół.

Ci podnieśli się wkrótce z ziemi, i po za domki górnicze uchodząc, zaczęli znów do nas strzelać.

Powtórzyliśmy powyższy manewr, biegnąc i strzelając wciąż, czem znów prerażeni, uchodzili gwałtownie dalej traktem, bienąc w kierunku północnym do mostu na rzece, w tem miejscu głębokiej, jako już bliskiej wpadu do stawu zakładu huty żelaznej, Stefanków.

Przyzywaliśmy wciąż na pomoc kawalerję, aby nam za wodę nie uciekli; oglądaliśmy się biegnąc wciąż naprzód za nią, lecz tej jak zakłętej nigdzie widać nie było.

Piechota moskiewska, w liczbie 50-60 głów, uszła więc z rąk naszych przez rzeczony most, zrywając pokład jego za sobą; i pędziła na łeb na szyję dalej na północ, znikając nam na koniec z oczu w lasach wsi Rzucowa.

Zerwany most i zniknięcie ich w lasach, dopiero powstrzymały nasz pościg.

Dopał nas Czachowski, a poświęciwszy słów parę rzewnych pamięci Grzmota, oddał dowództwo kompanji swej, stosownie do woli poległego bohatera, Manowskiemu; dla mnie zaś złał obowiązki starszego sierzanta (feldfebla) tejże. Pochwalił nasze znalezienie się, za wierne wykonanie rozkazów i planów nieodżałowanego Dobrogojskiego.

W tem przypadła depesza od organizacji do Czachowskiego, zawiadamiająca, że generał już obecnie, Czengiery, wyruszył z silną kolumną i działami z Kielc przeciwko nam, i że ma znajdować się już nie daleko od pozostawionego przez nas obozu naszego, pod Piekłem. Sformowaliśmy się więc natychmiast w kolumnę marszową i pośpieszyliśmy z powrotem do obozu.

Groźny widok uderzył nasze oczy, gdy w powrocie nadeszliśmy, na dopiero co przez nas opuszczone pobojuwisko i stanęliśmy na chwilę, dla pozbierania leżącej tam broni carskiej, porozrzucanej pomiędzy drzewami, krzakami i trupami poległych.

Gdyśmy ścigali uchodzącą resztę Moskali, kosynjerzy, widząc, że w polu nie będą użyci, od skraju lasu zawrócili na plac bitwy - i tu mszcząc się za śmierć Grzmota i barbarzyństwa spełnione przez pobitych Moskali w Suchedniowie i Wąchocku, oraz za wszystkie krzywdy swoje od carskiej dziczy doznawane, a zarazem chcąc się wprawić do dokładnego wykonywania cięć i pchnięć kosą, - posiekali na kawałki poległych Moskali. Wśród tego piekielnego szlachtuza z ciał ludzkich zdołaliśmy w pośpiechu zebrać przeszło kilkadziesiąt sztuk karabinów, a pomiędzy temi kilka sztuków strzeleckich, kilka rewolwerów i tyleż szabel oficerskich oraz kilkanaście tasaków podoficerskich.

Gdy pilno nam było dążyć do obozu naszego, pod Piekło. Czachowski przeto wydał rozkaz sołtysowi wsi sąsiedniej, aby włościanie resztę broni moskiewskiej po lesie w ucieczce porozrzucanej pozbierali i do obozu naszego dostawili; za każdą sztukę wypłacić przyrzekł po rublu srebrem, co też i dotrzymał. Dał im drugi także rozkaz, aby ciała posiekanych Moskali pochowali natychmiast.

Zabraliśmy z sobą powyższą zabraną przez nas broń na trzy furgony moskiewskie. Gdy je ujrzałem, dopiero zrozumiałem, dlaczego tak gwałtownie z nich, a głównie z tego, na którym wieźli dwa «rotne» ogromne kotły na 250 ludzi, wylecieli.

Kotły te były z blachy miedzianej, grubej, jeden do drugiego wsadzone; otóż kula z naszego sztucca belgijskiego, trafiwszy w same centrum den i przebijając takowe, narobiła takiego zgrzytu i huku, że Moskale przerażeni wnet odbiegli je. Za ich przykładem poszli i powożący dwoma innymi furgonami.

Na drugim furgonie znaleźliśmy kilka tysięcy gotowych ładunków karabinowych. Na trzecim leżała: kasza, chleb i wszystkie fraczki, które Moskale pozrzucałi, aby swobodniej walczyć, i bili się tylko w samych szynelach. Oddani przez nas jeńcy w ręce kosynjerów, gdyśmy powrócili, stali już tylko w bieliźnie i boso, a na co zaczęli się nam żalić, mówiąc: że kosynjerzy im zabrali oprócz ubrania i huty, furażerki a także i pieniądze. Nakazano natychmiast: zwrócić im, ich ubiory i buty. Za pieniędzmi zaczęto poszukiwać i sprawdzać, co kto im odebrał; z czego okazało się, że tych jedenastu jeńców posiadało przy sobie przeszło 11000 zł. polskich. Jeden starszy felczer posiadał sam przeszło pięć tysięcy złotych w samych półimperjałach zaszytych w szynelu.

Gidy znaną jest powszechnie nędza wieczna u każdego carskiego wojaka, przekonaliśmy się tu dowodnie, jak wiele w czasie powstania na rabowali ci łotrzy. Pieniądze te, odebrano kosynjerom, i złożono do kasy oddziału. Czy mieli jeszcze jakie

pieniądze i ile ich posiadali inni, obecnie już posiekani, i kto je od nich zabrał? - o tem się nikt z nas dowiedzieć już nigdy nie mógł.

Tak skończyła się ta fatalna dla Moskali bitwa, w której czyniąc na nas zasadzkę, tyle świetnych sukcesu w z niej dla siebie się spodziewali, a tymczasem ponieśli jedną znajhanebniejszych porażek w powstaniu.

Wzięło w niej udział, przeszło 400 piechoty moskiewskiej i około 60 kozaków, a 500 Moskali.

My zaś mieliśmy z sobą: dwie kompanje strzelców, razem licząc ludzi 180, uzbrojonych w różnokalibrowe karabiny i dubeltówki. Dwie kompanje kosynjerow w kosy tylko uzbrojonych. 200; kawalerji Stamirowskiego z Gawrońskim 16 oraz oficerów wraz z Naczelnikiem naszym; razem ludzi 438.

Przez czas naszego zachodzenia tyłu wrogom, Galicjanie: major Łopacki, kapitan Tabaczyński, oficer Olszewski i podoficer Grott, zostali trzech pierwsi ranni w lewą nogę a ostatni w prawą rękę kulami. My zaś, wśród ataku z tyłu i dalszej po nim pogoni, straciliśmy, zabitego: Stanisława Dobrogojskiego i ciężko rannego, bo przez piersi przetrzelonego szeregowca: Antoniego Mazura, z Warszawy, którego jednak nadspodziewanie uratowano od śmierci i wyleczono potem zupełnie.

Na samym zaś wstępie, raniony był Stamirowski.

Straty więc nasze w tej bitwie były: Rannych 6. Poległych 1. Razem 7 ludzi.

Na cyfrę, to nie wiele, ale ze względu na jakość osób, były to straty bardzo ciężkie. Strata niezrównanego Dobrogojskiego była za wielką, w porównaniu do pobitej dziczy carskiej.

Nikt też odtąd nie zastąpił nam ubytku tego mężnego a bohaterskiego, wysoce utalentowanego dowódcy, który ofiarą życia własnego dał nam powyższe świetne i stanowcze zwycięstwo, co rzuciło popłoch w szeregi wroga; nas zaś podniosło moralnie i fizycznie, oraz uzbroiło we własną wroga broń i amunicję. Cześć niechaj będzie wieczna, pamięci tego zacnego polaka patrioty, dziecka w rękach Moskwy, chowanego i przerabianego na carskie kopyto, a który mimo to idąc za głosem krwi szlachetnego, mężnego, patriotycznego ojca swego, męczennika za matkę Ojczyznę, opuścił szeregi ciemiężcy, porzucił najświetniejszą karierę, i przyszedł do bratnich szeregów, aby dać nam wzór, przykład, naukę jak się powinno walczyć i ginąć za wolność Polski. Pomnik mu kiedyś tu potomkowie winni postawić.

Zabrawszy z sobą drogiego poległego oraz rannych naszych i jenców, ze zdobyczą wojenną pomaszzerowaliśmy pospiesznie, biegiem prawie, z powrotem do naszego obozu, do którego zdążyliśmy o 3 po południu.

Ponieważ rannych, pod eskortą części kawalerji, wysłaliśmy przodem przed nami, przeto wchodzących nas pozostali koledzy przywitali entuzjastycznymi okrzykami jako zwycięzców. Opowiadali też nam, że jak X. Konarski odprawiał na naszą intencję, około godziny 8 rano, w obozie mszę świętą, tak zaraz jedna świeca woskowa na ołtarzu zgasła; o tej samej właśnie godzinie prawie, gdy Grzmot zginął. Przed wszystkim wyprawiono na kurację rannych. Następnie, Czachowski wraz z kilkoma oficerami i kilkunastu naszymi kawalerzystami, odprowadził ciało uwielbianego przez nas Dobrogojskiego do Niekłania, i spisawszy akt jego zejścia w księgach stanu cywilnego parafji tamecznej oraz zamówiwszy i zaspokoiwszy u proboszcza nabożeństwo za jego duszę i pogrzeb uroczysty, złożyli je w kościele na katafalku, w trumnie dotąd używanej przy odbywaniu nabożeństw żałobnych za dusze zmarłych. - Gdy przyprawionych

jeńców wprowadzono na strażnicę obozową, zaobserwowano, że wzięty do niewoli dowódca moskiewskiego dywizjonu, Nikiforów, natychmiast znakami jakiegoś porozumiewać się zaczął z więzionym wspólnie znanym policjantem z Radomia. Obecnie już nie ulegało wątpliwości, że policjant był szpiegiem moskiewskim. To też po powrocie z Nieklania naczelnika i spożyciu obiadu, około godziny 5 po południu, po dopełnieniu sprawdzenia jako jeńcy moskiewscy pochodzą z tego samego bataljonu Smoleńskiego pułku, który tak się zhańbił okrucieństwami w Szydłowcu i Wąchocku, sąd wojenny, a głównie dla dotrzymania słowa danego w odezwie do generała Uszakowa, skazał wszystkich, wraz z aresztowanym policjantem oraz z podoficerem zabranym do niewoli, jeszcze przez Dobrogojskiego. w d. 17 kwietnia - na śmierć przez powieszenie.

W dniu tym sam jeden już tylko przedstawiałem, że śmiercią tego rozkazu, na jeńcach przez nas wykonaną, zerwiemy ostatnią nić związków z oficerami moskiewskimi nam sprzyjającymi i głosowałem za rozstrzelaniem takowych.

Szlachetny Dobrogojski już nie żył. nikt mnie przeto więcej nie poparł, dlatego wyrok powyższy się utrzymał. Przystąpiono do wykonania strasznej egzekucji.

Wykonanie wyroku Czachowski powierzył kompanji kosynjerow. Wprowadziwszy skazańców po za obóz, na małej polance tuż za nim, mającej kilkanaście dębów w około niej rosnących, przystąpiła ona do wykonania wyroku.

Usłyszałem, leżąc na ziemi, dochodzące mnie głosy, za pośrednictwem innych, leżących od tamtej strony, przy ogniskach powstańców:

- Ha! jeden już wisi!
- Drugi już wisi !

Na mnie robiły te wykrzykniki bardzo przykre wrażenie. Po nich zawołano:

- Urwał się!

Zapytałem czy nie na jakim starym go postronku powieszono ?- odpowiedziano, że zupełnie nowych do tego używają. Rzekłem przeto na głos, na leżących towarzyszy:

- Widocznie człowiek niewinny; proście o łaskę!

Otaczający mnie powstańcy, jednocześnie zawołali :

- Łaski!

Wypalił Czachowski zły, wołając:

- Co to za krzyki?

Odpowiedziałem śmiało, idąc do niego:

- Ojcie! wieszany Moskal na zupełnie nowym sznurze urwał się. Widać, że jest niewinnym okrucieństw, za które ich kara spotyka. A towarzysze moi, proszą cię, o łaskę dla niego.

- Żadnej łaski! - odrzekł rozgniewany wódz i dodał groźnie. - Wziąć inny postronek, ten widocznie był za cienki, i wieszać dalej!

Wróciłem przeto na swoje miejsce, i usłyszałem zaraz na nowo: - Urwał się, po raz drugi!

Wymówiłem przeto znów:

- Widocznie niewinny, żądajcie łaski dla niego.

Większa znacznie ilość powstańców zawołała głośno: .

- Łaski!

Na to, Czachowski, wypadł z rewolwerem w rękę z szałasem i zapytał znów, jeszcze więcej zły:

- Co to znów za krzyki?

Odpowiedziałem mu znów śmiało, patrząc w oczy:

- Ojcze! na nowym, innym postronku, tego samego drugi raz powieszono, i znów się urwał; a zatem widać, że jest niewinny. A twoi wierni żołnierze błagają cię, dla niego o łaskę.

- Żadnej łaski! - zagrział znów rozsierdzony wódz - Wziąć inny postronek i wieszać dalej. A w łeb palnę każdemu - dodał grożąc swym rewolwerem - kto mi się poważy zawołać jeszcze: -łaski. .

Za chwilę usłyszałem jeszcze znow, po raz trzeci głosy silne:

- Urwał się trzeci raz!

Oburzony w najwyższym stopniu na te męczarnie nieszczęśliwego jeńca, nie podejrzewając, aby to urywanie się sztucznie urządzonym być mogło, zerwałem się na równe nogi, i wyrzekłem na cały głos:

- Widocznie Bóg nie chce śmierci człowieka niewinnego, kiedy po raz trzeci wieszany, co raz na innym i nowym postronku, ciągle się urywa. A zatem, koledzy, łaski!

Jak jeden zerwał się cały oddział z ziemi a opierając się na swej broni, wszyscy razem krzyknęli jednogłośnie z całej swej piersi:

- Łaski!

Wypadł wzburzony, w najwyższym gniewie Czachowski z rewolwerem z szafasu, i znów zagrział:

- Co to: bunt?

- Nie ojcze! - odpowiedziałem, występując ku niemu śmiało - to nie jest żaden bunt; lecz Bóg widocznie nie chce śmierci człowieka niewinnego, skoro oto po raz trzeci wieszany, na co raz innym a za każdą razą nowym postronku, ciągle się urywa. O łaskę dla tego tylko jednego, niewinnego, błaga cię ojcze cały tak zawsze wierny ci oddział!

Spojrzał Czachowski, rzeczywiście cały oddział jego stał za mną pod bronią i oczekiwał od niego łaski milcząco: spuścił więc swój rewolwer, i rzekł:

- Jeżeli przysięgnie nam na wierność, i będzie z nami służyć, to go ułaskawiam.

Wszedł potem do szafasu i leżał na swej burce. Udałem się natychmiast do skazańca na polankę, gdzie oczekiwano rezultatu naszego okrzyku, i oświadczyłem warunki, pod którymi może dostąpić łaski. Błady, przerażony przyjął i wykonał przysięgę, którą odebrał od niego X. Serafin Szulc, ubrany w komżę i stułę; gdyż spowiadał właśnie tych, co tego obowiązku przed nim dopełnić się zgodzili a on przybył tu wraz z oddziałem Kononowicza.

W lat kilka na emigracji, gdy znalazłem się z rzeczonym księdzem razem w Monachjum, przyznał się dopiero, że gdy ze spowiedzi dowiedział się, że podoficer wzięty do niewoli przez Dobrogojskiego, a nim był właśnie wieszany, nazywający się Antoni Turlin, rodem z Królesłwa, powiatu Olkuskiego, religji rzymsko katolickiej, tylko długo już służył poprzednio w głębi Rosji, i dla tego po części zapomniał swego języka ojczystego, a przytem zaczął go zapewniać o swoim przywiązaniu do wiary ojców i swego kraju - postanowił go uratować od śmierci. Uprosił w tym celu jednego z kosynjerów, że ten podając nowe postronki, takowe kozikiem podrzynał, w skutek tego i urywania się powyższe wieszane następowały.

Gdym wrócił z jeńcem uwolnionym, zabrałem go bowiem do naszej kompanji, ujrzałem obok powieszonych dwóch, i naszego szpiega policjanta chłopa zaledwie 28 lat mieć mogącego, dawniej przystojnego blondyna, a obecnie strasznie wyglądającego w swej carskiej skórce (mundurze policjanckim) z językiem na zewnątrz wywalonym.

Umieściwszy uwolnionego pod opieką innych towarzyszy, którym oświadczyłem, że ten w naszej kompanji będzie odtąd służył, usłyszałem znów na około:

- Oho! trzeci już wisi! - i tak po kolei aż do siódmego.

Naraz słyszę, że mnie wołają.

Coś chce mówić, ale nikt go nie rozumie, bo po moskiewsku coś gada - proszą więc mię abym tłumaczył.

Władając językiem moskiewskim, pobiegłem, sądząc, że jaką tajemnicę skazaniec chce wyjaśnić. Gdy przypadłem do niego zwolniono go z rąk trzymających za ramiona kosynjerów, z założoną mu już petlą na szyi; obrócił się twarzą do dębu, na którym mieli go powiesić, zwiesiwszy głowę w dół, i machając prawą ręką, mówił po moskiewsku:

- Car bije! Bóg bije! Zwierzchnicy biją! Bieda bije! A teraz i Polacy już biją!

Odwrócił się naraz frontem do nas wyprostowany, podniósł głowę, i plecami przysunął się do dęba i dodał sarkastycznie:

- To już teraz wieszaj, bracie!

Wytłumaczyłem kosynjerom tę rozpaczliwą skargę przed samym sobą, i jego niewolniczą determinacją; a ci go natychmiast powiesili. Sam zaś poszedłem w tył, przejęty zgrozą na tę ciemną, zwierzęcą, bezmyślną, a zawziętą nieszczęśliwego do nas nienawiść.

Słyszałem znów głosy jeszcze dalej lecące wyegzekwowanych, aż do dwunastu, a po tej cyfrze wydany okrzyk zgrozy:

- A to się dopiero ubrał!

Domyśliłem się, jakie niebezpieczeństwo nam grozić może.

Wpadłem na plac tracenja. Okropność! W szyscy dwunastu wisieli na dwunastu dębach, w foremne koło rosnących, zwróceni twarzami do siebie Jedenastu carskich niewolników wojskowych wisało tylko już w samych koszulach. Ostatnim straconym był dywizjoner, Nikiforów. Straszna była śmierć jego, jak mi opowiadali obecni.

Musiał bowiem patrzeć na skon jedenastu swoich spółników zbrodni, zanim sam zawisł na hańbiącym drzewie. Gdy go nareszcie powieszono ze związanymi w tył rękoma, osobnym sznurem w pasie przytwierdzonym, ręka jego lewa wymknęła się jakimś sposobem z postronka - był silny, krępo zbudowany mężczyzną: - skoro więc petla zaczęła go mocno dusić, miał robić bardzo silnie pierściami kręcąc się; rzucając i podnosząc w górę uwolnioną z więzów rękę po trzykroć, otwierał swe oczy i podnosił się siłą wewnętrzną, podnosząc się w górę na duszącym go sznurze, a chcąc schwycić nią za konar, na którym go powieszono. Lecz gdy ten był przeszło na parę łokci nad głową jego, wyżej położony, przeto go nie dosięgnął.

Oględziny wisielców przekonały mię, że wszyscy oni byli zarażeni. Doniosłem o tem do sztabu; natychmiast kazano spalić całą ich odzież i bieliznę. Taki był stan wówczas carskiej armii, wysłanej na zniszczenie nieszczęśliwej mej ojczyzny.

O zmroku odcięto ciała powieszonych i w wykopanym w lesie, pod Piekłem, dole wspólnym pogrzebano.

O dwunastej w nocy. a byłem dyżurnym, przystawiono mi z wedet, od strony Niekłania, trzech włościan, aż z okolic Mniowa ścieżkami górskimi przybyłych spieszenie do nas. Oświadczyli oni, że mają bardzo pilny interes do Czachowskiego. Odeszliśmy z dowódcą i trzema wieśniakami trochę na bok od nieśpiących jeszcze powstańców, a to na żądanie ostrożnych tych, a prawdziwie patryjotycznych wieśniaków, którzy z niekłamanem uwielbieniem powitali starego wodza, donosząc: że generał

Czengiery wyszedłszy z Kielc, zajął na nocne leże ich wieś, Mniów, idąc na nas z siłą: dwóch bataljonów Smoleńskiego pułku piechoty, dwoma szwadronami dragonów, trzema sotniami kozaków i czterema działami. Jutro zaś rano maszerował: będzie na nas traktem bitym, idącym do Końskich; ztąd zaś przejdzie na Nikłań, by uderzyć niespodzianie na nasz obóz. - Poczciwi wieśniacy, z narażeniem własnego życia, przynieśli nam tę istotnie ważną wiadomość.

Uściskał stary wódz również starych a patrijotycznych włościan, a dziękując im za przestrożę i ich poświęcenie, wtykał im do rąk po 5 rubli srebrem każdemu. Lecz zacni ci, a prości na pozór ludzie, zwrócili mu pieniądze ze słowami:

- Jenerale! - tak bowiem wszyscy włościanie tytułowali naszego naczelnika. - My przecież choć chłopci, ale także Polacy! - i mówili dalej również szlachetnie i patrijotycznie, kończąc tak: - Pobij jenerale i wypędź z kraju, a nas już raz uwolnij od Moskali, to najlepiej nas zapłacisz. A pieniądze więcej ponoś wam potrzebne jak nam, chłopom.

Uściskaliśmy wszyscy zacnych chłopów, i zaraz wyprowadziliśmy ich za wedety. Czachowski dał mi natychmiast rozkaz: ściągnąć wedety, wysłać odpowiednie dyspozycje podjazdom; udać się do obozu Kononowicza, zbudzić go i zawezwać do siebie, oraz kapitana Markowskiego, który objął dowództwo oddziału galicyjskiego po rannym majorze Łopackim, a także szefa sztabu Eminowicza; niemniej zbudzić wszystkich powstanców, kazać im stawać natychmiast do szeregów pod broń, oraz ogień gasić.

Gdym wykonał powyższe zlecenie i rzeczeni wyżej oficerowie przybyli, po naradzeniu się z Eminowiczem, wydał Czachowski rozkazy: natychmiastowego wymarszu z obozu pod Pieklm, i wskazał każdemu inną drogę i dalszy marsz, aż do punktu zbornego, w lasach za Salachowym borem, o mil 8 ztąd na południo-zachód od miasta Końskich, a 21 kwietnia był terminem przybycia na miejsce.

ROZDZIAŁ VI

OD 21 KWIETNIA DO 3 MAJA

W kilka minut, po 12 w nocy, trzy oddziały nasze, stały już sformowane w trzy kolumny pochodowe, jedna za drugą; ogniska zalewano i ziemią narzucano. O godzinie 1 po północy, wśród nadzwyczajnej ciemności w wysokopiennych a dość zwartych i podszytych, bo mieszanych tych lasach, wyruszyliśmy, ręką namacując poprzednie rotę, postępując na południe.

Wyszedszy z lasów, na wschód od wsi Niekłania, od drogi bitej od tej wsi ku Odrowążowi, oddział Kononowicza, idący w arjergardzie, odłączył się i zawrócił na zachód od Niekłania, by pójść na południowy zachód, górami Niekłańskimi i Stąporkowskimi, pokrytymi borami; aby niemi od wschodu i południa obejść najkrótszą drogą miasto Końskie z załogą moskiewską, a następnie przejść w lasy Rudy Malenieckiej i Radoszyckie, i dopiero koło Salachowego boru zająć stanowisko.

Oddział zaś nasz z Galicyjskim, podążył na wschód, ku Odrowążowi. Uszedłszy wspólnie dobre pół mili, oddział Galicyjski, z arjergardy podobnie się oddzielił, i podążył też na południowy-zachód, równoległe do oddziału Kononowicza, a oba po prawej stronie rzeki Czarnej, temiz samymi górami i lasami; dopiero w borach Rudy Malenieckiej, i przeszedłszy na jej lewy brzeg już w puszczy Radoszyskiej, około Salachowego boru, połączyli się mieli z nami.

My zaś szliśmy na wschód, ciągle otwartymi miejscami, jeszcze z pół mili, a obszedłszy góry Niekłańskie i Stąporkowskie, doliną rzeki Czarnej, zrobiwszy półkole, pomaszzerowaliśmy nią na zachód.

Pod zakładem huty żelaznej Stąporków, prześliśmy rzekę Czarną, na lewy jej brzeg; i przez wieś Stąporków pomaszzerowaliśmy dalej, na zachód, z małym nachyleniem ku południowi. Nad ranem, dochodząc do wsi Czarnej, kawalerja nasza w awangardzie schwytała droźnika drogi bitej z Sielpi do Kielc, w tej wsimieszkającego, a byłego wysłużonego żołnierza moskiewskiego; obecnie, oprócz powyższego zajęcia, szpiegostwem się trudniącego, który przed godziną dopiero został wysłany przodem przez Czengierego, dla rozpoznania dokładnego stanu naszego obozu w lasach, za Niekłaniem, i zdania mu raportu z tej zdrójczej misji. Droźnik, gdy ujrzał niespodzianie, na skrócie drogi, naszą kawalerję, rzucił się w krzaki, chcąc się ratować ucieczką; ale ponieważ ten jego manewr wydał się właśnie podejrzanym. przeto szpicca schwyciła go i przyprowadziła do nas.

Jako szpieg moskiewski, był on już u nas notowanym; gdy i mieszkańcy toż samo stwierdzili, a w ostatniej indagacji sam zeznał, że jako dawny żołnierz musiał słuchać rozkazów Czengierego, przeto sąd wojenny miał bardzko łatwą z nim sprawę - skazał go na powieszenie. Ażeby zaś wsi tej nie narażać na zemstę Moskali, wyprowadzono go z niej kawał drogi, ku Stąporkowowi, i na przydrożnej karłowatej sośnie powieszono.

Zostawiwszy powieszzonego na gałęzi, po skonstatowanej śmierci tegoż pomaszzerowaliśmy dalej w poprzednim kierunku, idąc wciąż lewym brzegiem rzeki Czarnej, u stóp gór i borów Krasnowskich i Miedziarskich ku Sielpi, do którejśmy weszli dopiero w kilka godzin po przejściu kolumny Czengierego przez nią; gdy ta przez Końskie pomaszzerowała, aby napaść nas niespodzianie w obozie za Niekłaniem.

Przeszedłszy trakt bity w tej ostatniej wsi, zawróciliśmy w lasach już Radoszyckich teraz na południowy zachód. O godzinie 7 wieczór, na smugu leśnym, pod leśnictwem Salachowy bór, połączyliśmy się znowu z oddziałami Markowskiego i Kononowicza, upaliwszy jednym ciągiem przeszło ośm mil bez odpoczynku i pożywienia. Znużeni i zgłodniaли, gdy zakomenderowano spocząć i położyć się w miejscu bez rozpalania ognisk: padliśmy jak nieżywi, zasypiając snem kamiennym.

Tymczasem Czengiery przeszedłszy bez zatrzymania się przez Niekłan- prawie w tem samym miejscu, gdzie my skręciliśmy na wschód - podzielił kolumnę swą na trzy części, i poszedł w lasy, otaczając od północnego zachodu i południa wzgórze Piekło; a ustawivszy na zachodniej jako najwznioślejszej stronie płaszczyzny, lasem poroślej, działa, zaczął ostrzeliwać obwarowany gałęziami wierzchołek, gdzieśmy przed kilku godzinami istotnie obozowali.

Gdy po upływie pewnego czasu, tego sypania z dział kartaczami na wierzchołek rzeczonoego wzgórza, nie odbierał z tamtąd żadnej odpowiedzi,- mniemał Czengiery - że się podstępne a przebiegłe «Lachy» ukryli i zaczęli za olbrzymimi głazami, aby się zawczasu nie zdradzić, że tam obozują. Potem ostrzeliwaniu na wiatr, poszła piechota nieprzyjaciela do szturm Piekła jak zwykle z dzikimi, ciągiem i wrzaski: «urra! urra! urra!" syjąc na oślep, rotowym ogniem.

Echo powtarzało, te ich dzikie wrzaski. a Moskale sądzili, że to my im odpowiadamy. Utwierdziło ich jeszcze w tem i to, że wierzchołek wzgórza okrył się dymem wystrzałów.

Niedorzeczna przytem dyspozycja Czengierego, posuwania z ogniem z przeciwnych stron, wydała ten wynik, że Moskale zaczęli sami siebie razić. To powstrzymało ich na chwilę: lecz oficerowie płazami popędzili ich naprzód, chcąc raz z nami skończyć. Dopiero przy wdarciu się z bagnietami między głazy, przekonali się, że zostali wy kierowani na dudków. Znalazłszy zresztą, to co szukał na górze t. j. mnóstwo wygastych ognisk i różnych pozostałości, świadczących, że właśnie tu był obóz powstańczy, Czengiery, rozesłał po lesie kozaków, a sam z częścią dragonów wrzucił do Niekłania, i sposobem moskiewskim, przy pomocy nahajek, indagował mieszkańców o powstańcach.

Bici i katowani, nieszczęśliwi ci ludzie, jednozgodnie zeznali, że wczoraj dobrze po południu jakichś kilkunastu powstańców konno przyjechało do kościoła, i złożyli w nim ciało jakiegoś oficera, co zginął im w bitwie pod Stefankowem, w lasach. Lecz z jakiego oddziału byli, i ilu ich jest w lesie, tego nie wiedzą; bo nikt z nich tam nie był.

Udał się przeto Czengiery do kościoła, i zastał rzeczywiście ciało, a to tego, którego tak cenil i przyjacielem swym nazywał, mianowicie: byłego swego podkomendnego - Dobrogojskiego. Opowiadano, że zapłakał, bodaj czy nie obłudnie, nad za wczesnym zgonem, tego utalentowanego, bohaterskiego, swego niedawnego kolegi, i dozwolił na uroczysty jego pogrzeb. Wróciwszy do pozostawionej w lesie piechoty, która myszkując odkryła dwanaście trupów wisielców, kazał ich wszystkich na furmanki pobrać.

Ciała te straconych zabrał na swe kibitki, nakrywając je rogózkami, i z kolumną swą podążył pod Stefankow.

Kozacy jak zwykle, przetrząsając przodem las, pierwsi natrafili na straszny plac bitwy wczorajszej, gdzie znaleźli wszystko jeszcze, w stanie takim samym, w jakimieśmy wczoraj go odeszli.

Włóścianie bowiem nie posłuchali nas, ale stosując się do praw obowiązujących,

obawiali się szczątków posiekanych grzebać bez wiedzy sądu.

Przerażeni widokiem tej jatki ludzkiej, kozacy uciekli w tył, donosząc, co zobaczyli.

Czengiery wstrzymał kolumnę, i w towarzystwie tylko niektórych oficerów i kozaków, pojechał oglądać pobojuwisko. Strach zmitygował w nim wściekłość; kazał więc sprowadzić natychmiast sołtysów i włościan sąsiednich wsi, aby go objaśnili o porażce oddziału Nikirorowa. Wysłuchawszy, na ten raz bez bicia, zarządził pod surową karą: natychmiastowe pogrzebanie tego bigosu ze swych rabusi umundurowanych, posiekanych naszemi kosami.

Ciała zaś owych wisielców, jako corpus delicti naszego okrucieństwa, odesłał do Uszakowa, do Radomia; sam zaś traktem do Niekłania, ze swą kolumną, powrócił.

Żołnierze moskiewscy pocierpli z przerażenia, gdy im kozacy swym przesadnym sposobem odmalowali pobojuwisko z bigosem kosynjerskim: poskromiło to zuchwalstwo tej łupieżczej dzicy, jak wiadomo, tylko takimi środkami mogącej być «przekonaną». W powrocie ku Niekłaniowi, otrzymał Czengiery wiadomość od swych podjazdów, co były w Stąporkowie, Czarnej, Papierni i innych drobniejszych miejscowościach, a przez które już w dzień przechodził nasz oddział, że przez te znacznie oddalone a na tyłach jego miejsca przeszły znaczne siły powstańcze; że powiesiliśmy wysłanego jego szpiega znów przy drodze, pomiędzy Stąporkowem a Czarną, i na koniec najważniejszą: że śpiesznie maszerujemy, aby niespodzianie ubiedz Kielce, których załogę tak osłabił przez wyprowadzenie swej kolumny. Wszystkie podjazdy jednoznacznie powtarzały puszczaną przez nas pogłoskę o marszu na Kielce, a to niby tak, od niechcenia i pod wielkiem sekretem.

Przerażony tą ostatnią wiadomością, rozesłał natychmiast rozkazy do pobliskich załóg małych miasteczek województwa krakowskiego, aby te śpiesznie maszerowały na pomoc załodze stolicy, i sam forsownemi marszami dążył do Kielc z powrotem; podczas gdy tymczasem my, doszedłszy do puszczy Radoszyckiej i maszerując bezdrożami, znikliśmy w niej wszystkim z oczu.

Uszakow wraz z raportem Czengierego otrzymawszy prezent z dwunastu carskich męczenników, jako dotrzymanie mu danego słowa, polecił złożyć takowe w sekrecie w lazarecie wojskowym i przebrawszy ich w mundury napowrót - po kilku dniach z całą wystawą i honorami wojskowymi jako niby zmarłych ze zwykłych chorób w szpitalu, rozkazał grzebać na cmentarzu prawosławnym w Radomiu. Sekret ten atoli na nic się nie zdał, gdyż wszystkim w mieście dokładnie było wiadome ukaranie tych rabusiów i morderców umundurowanych.

Uszakow zawrzał chęcią, wzięcia na nas pomsty za śmierć swych zbójców. Na głowę Czachowskiego podwyższył cenę. Nas zaś zawyrokował, że każdy z naszego oddziału, coby w ręce jego dostał się, powieszonym zostanie bez pardonu. - Odtąd też ani chorych, ani maroderów, ani żądających choćby chwilowego urlopu do rodziny, nie mieliśmy. Lekko nawet w bitwach draśnięci nie chcieli iść na kurację, lecz się wlokąc i przesiadując na furgonach leczyli.

Wydał też Uszakow najgroźniejsze swoim podkomendnym rozkazy, zniszczenia naszego oddziału przed innymi: jakby dotąd co innego robili?!

Na prostych zaś żołnierzach, postąpienie powyższe nasze, wręcz przeciwny skutek wywarło; gdyż natchnęło ich nieopisaną trwogą, jak to wyżej było powiedziane. Zwali nas odtąd: wcielonymi szatanami, «wopłaszcziennyje satany».

I czy to w skutek tego, czy też mowy zmarłego kozaka, dość taki wpływ na wysyłanych do tropienia naszych śladów jego ziomków wywarła, że przez dwa tygodnie, wyprawiane na nas kolumny moskiewskie, nigdzie nie mogły nas znaleźć. Recepta nieomylna...

Pewnej nocy, o czym będzie niżej, w lasach Krasnowskich, około północy, przechodziliśmy z całą naszą kolumną środkiem pomiędzy dwoma wedetami kozackimi, a każdą z nich zaledwie kilkadziesiąt kroków od nas oddaloną; przeto nie mogliśmy pojąć jak się to stać mogło, że gdy my je dobrze widzieli a tylko nie zaczepialiśmy - to oni jednak nie dali znaku, żeby nas, maszerujących w poprzek, przez drogę, dostrzegli? Wysyłane później na nas kolumny, przystępowały zawsze do spotkania z nami trwogą napełnione i nadzwyczaj ostrożnie, aż do zbytku, a to tak dalece, że gdy z konieczności, przed nadzwyczajną przewagą wroga, i dla różnych a nie sprzyjających nam okoliczności, zmuszeni byliśmy rozsypywać się, cofać a nawet przebijając przez nich i uchodzić głębiej w lasy - tu nie odważyli się potem nigdy głęboko w takowe za nami się zapuszczać, podejrzewając nas, że my tylko udajemy tę rozsypkę, aby ich wciągnąć za sobą głębiej w zasadzkę. Gdyśmy zaś przez nich już się przedarli lub od nich cofnęli, sami się wycofywali spiesznie z lasów, a czemu nie jednokrotnie po tem zawdzięczaliśmy, że nas wówczas zupełnie nie wytypili. - Trafić do moskiewskiego sumienia inaczej - niepodobna.

W dniu 22 kwietnia, zaledwie zaczynało szarzeć na niebie, gdy dano sygnał wstawać i formować kolumnę do pochodu.

Jakkież było nasze zdziwienie, gdy każdy z nas podniósłszy się ze smugu leśnego, na którym w szeregu leżał, ujrzał odcisniętą na ziemi formę własnego ciała a w teje kilka cali wody! - Dopiero poznaliśmy, że nocowaliśmy na rudawicy, której po nadludzkiem wyteżeniu snem zmorzeni nie uczuliśmy pod nogami. To też gdyśmy z ziemi powstałi, dopiero zaczęły nas przejmować dreszcze; lecz gdyśmy następnie zaraz poszli w dalszy marsz i zaczęli wdzierać się, coraz wyżej w góry, tośmy się ich pozbyli, przeciwnie, maszerując spiesznie, zaczęliśmy się tego pocić.

Dniało, gdy wyszedłszy z puszczy zbliiliśmy się do pierwszej wioski, po drugiej stronie gór leżącej. Kawalerja, porozsyłana dla zaskoczenia mieszkańców wiosek, do Wólki Kłuckiej należących, póki jeszcze do dnia będą takowi w domu - powróciła i zdała raport Czachowskiemu, że chaty w nich wszystkie pozamykane zastała a ludność uszła cała w lasy przed nami, przez kogoś o bytności naszej w tych stronach już widać uwiadomiona.

Wkroczyliśmy do pierwszej wsi, Strawczyna, i sprawdziliśmy, że tak było istotnie. Toż samo zastaliśmy i w innych wioskach, przez które przechodziliśmy forsownym marszem; wkroczyliśmy już bowiem na terytorjum dóbr do Wólki Kłuckiej należących, a to w celu aby przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie, to jest: zniknąć z oczu, zbyt dla nas przeważnej kolumnie Czengierego do spotkania się w otwartym polu, a zarazem spełnić rozkaz Rządu Narodowego.

Przed pewnym czasem, jeszcze Komitet Centralny, nadesłał był Czachowskiemu listę imienną z tych dóbr 52 włościan, których jako głównie winnych wywołania ruchu ludowego przeciw dworom, jaki się w tych stronach na początku powstania ujawniła skazał za to na karę śmierci przez powieszenie, i wyrok ten polecił mu wykonać. Dotąd nie mogliśmy się zbliżyć w te strony, nad którymi Moskwa czuwała. A to ztąd, że dziedzic tych dóbr, Eustachy Kołłątaj, był zięciem jawnego zdrajcy kraju,

Niemojewskiego⁷⁷; do tego i sam najwierniejszym adherentem najezdników, i dlatego jeszcze że przewidywał jako powstańcy zechcą ukarać zdemoralizowanych przez niego włościan.

Do tego Wólka Kłucka leżała jeszcze zaledwie o niecałych mil dwie od Kielc.

Gdy więc Naczelnik upewnił się, że załoga Kielc jest o połowę zmniejszoną, przez wymarsz kolumny Czengierego, postanowił przeto skorzystać z tego, i wyrok powyższy wykonać.

Widząc atoli, że ludność zbrodnicza uszła w lasy, rozesłał wszystką kawalerję, dla ich przetrząśnięcia; sami zaś do dworu Wólki Kłuckiej pomaszerowaliśmy.

Gdyśmy wychylili się z lasów, na tę stronę gór, zastaliśmy ziemię przy silnym mrotnym wicherze szronem okrytą a miejscami lodem i grudą. Tymczasem wielu w oddziale naszym zupełnie już boso maszerowało, przeto bolesnem było patrzeć jak niektórzy z nich znaczą ślady swego pochodzenia na grudzie własną krwią, z nóg ich brocząca.

Radomiacy, gdyśmy weszli do Wólki Kłuckiej, zajęli ogród angielski, na brzegu jego, przed sadzawkami, za którymi wznosił się fronton pałacu, ustawivszy broń bagnetową w kozły, której ilość znacznie nam się po onegdajszej bitwie zwiększyła, i spoczęli na koniec, otoczyli mię, zaklinając na miłość ojczyzny, pokazując swe nogi pokaleczone, oraz strzępki swej bielizny, pełne owadów, błagali, abym udał się do dziedzica z prośbą, o dostarczenie im ubrania.

W tem wiara zawiadamiała mnie, że dziedzic ten, w składzie swym miejscowej rafinerji spirytusów, dla nas podwyższył cenę każdej flaszki wódki o groszy 20.

Rozgniewany tą jego bezczelnością, zabrałem mój sztuciec strzelecki, zdobyty przezemnie pod Stefankowem, i udałem się do pałacu. Posłałem lokaja, aby pan jego do mnie wyszedł, gdyż mam ważny bardzo interes osobisty, żadnej zwłoki nie cierpiący.

Upłynęła chwila a Kołłątaja nie widać było; stałem przeto dalej gniewny, wsparty na łęku bagneta, gdy wychodzący z pałacu kapitan Dolnicki zapytał mnie, kogo tu oczekuję?

Opowiedziałem mu, o co chodzi nam, a gdy właśnie przesuwiał się znów koło mnie lokaj, jak nie huknę na niego:

- Posłuchaj no durniu! powiedz swemu kpu panu, że to czas wojenny; niech zatem nie żartuje, lecz wychodzi natychmiast; jeżeli nie chce, abym go sam poszukał.

Wypadł w tej chwili Kołłątaj, widać że mu powtórzono wiernie moje słowa, i przepaszając za zwłokę, zapraszał do wnętrza pałacu. Odpowiedziałem mu na to:

- Żaden uczciwy Polak nie powinien przestąpić progu pańskiego, jeżeli tylko wie, kto pan jesteś i wiele innych nie miłych rzeczy dorzuciłem, żądając tylko dla kolegów obuwia i bielizny, za które zapłacimy gotówką. Wyrzucałem mu też, za podniesienie ceny dla nas na wódce.

Panek utylitarysta, znikł jak zmyty we wnętrzu pałacu, a Dolnicki zawrócił w ślad za nim, i opowiedział Czachowskiemu, który stanął w pałacu kwaterą, co między nami zaszło.

Za chwilę wrócił z czerwonym od gniewu dowódcą, który z uśmiechem swym rubasznym.

- Wyobraź sobie, kulego, mój kłopot - rzekł do mnie - Kołłątaj utrzymuje, że

⁷⁷ Drażkiewicz ma na myśli Adolfa Niemojewskiego, członka rady powiatu kieleckiego, który wraz z wybuchem powstania wyjechał do Szwajcarii.

gdysmy go niespodziewanie naszli nie moze zgoła nic znaleść dla nas na pożywienie, nawet ziemniaków. Wyślelałem Dolnickiego sprawdzic, czy tak jest istotnie; bo niemoglo mi sie pomiescic w glowie, aby tam, gdzie gorzelnia jest, ziemniaków nawet nie bylo, i wystaw sobie: wszedzie przeszukali, i nic nie znaleźli rzeczywiście. A tu oddzial juz drugi dzien nic nie jadł.

Podjalęm sie zrobic ponowną rewizję, i otrzymałem na to skwapliwe zezwolenie.

Czachowski z Dolnickim wrócili do pałacu. Ja zaś jakoś za długo juz czekałem, i gdy mi się nawinał jakiś sługa dworski, wyslałem go znów do dziedzica z pogrózkami.

Wybiegł też z pałacu wraz z lokajami, niosącemi kilkanaście par butów cielęcych, juz noszonych i dwudziestu kilku koszulami webowemi. On zaś niby obrażony, do mnie mówił:

- Jakże też pan, mozesz mnie tak w obec mej służby kompromitować?

- Mój Panie! - odpowiedzialem znów na to wszyscyście siebie jedno warci, a panu juz nikt ublizyc nie moze - i zażądałem, aby powiedzial, co chce za buty i koszule.

- Ależ ja, Panie, pieniędzy za to, na żaden sposób przyjac nie mogę - odpowiedzial.

Lokaje zanieśli ofiarowane rzeczy do oddzialu, któremi natychmiast najpotrzebniejszych obdzielilem. Po czym zakrecilem się tylko pomiedzy jego oficjalistami i juzem się dowiedzial, gdzie Kołłataj kazał ukryc przed nami swe zapasy żywności. Wziawszy przeto z sobą pół kompanji do rewizji niby wszyskich jego budynków ekonomicznych, aby nie dać w podejrzenie oficjalistów, przetrząsnąłem po kolei wszelkie budynki, gorzelnię, piwnice i nic nigdzie nie znalazłem; pozostała juz do zrewidowania tylko ogromna szopa, pełna wymłóconej słomy, przeto kazałem wyrzucic z niej takową, a nawet i chrust używany od spodu; dopiero pod nim odkryłem do ziemi przypasowane ukryte drzwi, na kłódkę zamknięte, które kazałem odbic, i znalazłem loch a w nim pełno wszelkich wiktualów. Ponieważ furgony nasze wyprawione osobnemi drogami z obozu pod Piekiem juz przybyły, kazałem przeto wyladować takowe: krupami, kaszą, jagłami, mąką, słoniną, solą i mięsem.

Okrzykiem jakby po odniesieniu tryumfu jakiego, powitala nas głodna nasza wiara.

Oburzony na taką nie ludzkość Kołłataja, kazałem w ogrodzie, po przed sadzawkami, rozlozyc na trawnikach ogniska i nastawic zreperowane juz kotly moskiewskie z pod Stefankowa. Dla okazania zaś naszej wzgardy dla tych wyrodných rodaków, gdy słońce juz się dość wysoko na niebie podniosło i zaczęło przygrzewać, połowa każdej broni, rozebrawszy się, kapała się w sadzawkach, kiedy druga leżała w pogotowiu przy broni, śpiewając zawzięcie:

- Gdy naród wystąpił na pole z orężem i t. d.

Czachowski po powyższem odkryciu i porobionych juz przygotowaniach do nakarmienia oddzialu, taką pasją się uniósł na Kołłataja za jego bezczelne słowa honoru i zaklęcia jako nic nie posiada z wiktualów, że wyrwawszy nahajkę z za cholewy, wysmarował nią jego plecy, i splunąwszy pałac opuścił i wedetami kazał go obstawic, aby ustrzedz się przed możebną zdradą. Nie pomogły nic ani łzy, płacze, lamenty i spazmy jego godnej pani; zakaz został utrzymany, aż do naszego wymarszu. Naczelnik zaś ulokował się z nami, na trawnikach. Nawet u jego oficjalistów, chociaż wiedzieliśmy, że niektórzy z nich byli dobrzy Polacy, żaden z nas gościny nie przyjął.

Szlachta okoliczna zaczęła dość licznie do obozu naszego zjeżdżać, przywożąc z sobą pełno: węlin, pieczywa, spirytualjów i win. - Nawet muzyka się zjawila, i to wcale dobra, choć żydowska.

Pań i panien znalazło się pomiędzy przybyłymi podostatkiem. A gdy do tego wiara należycie się posiliła, oddała się przeto zabawom, śpiewom i tańcom, wprowadzie pod gołem niebem, ale na równiutkich jak kobierce trawnikach ogrodu, a to z całym zapalem i ogniem młodzieńczym, jakby przed chwilą nie była znużoną nadludzkimi wysiłkami i głodem; mimo libacyj dosyć rześzystych z całą przyzwoitością i grzeczością się znajdowała.

Kawalerja tymczasem pracowała bezustannie, polując po krzakach i brzegach lasu na włościan, i do godziny 5 po południu znaczną ilość schwytych dostawiła, za którymi zjawily się zaraz kobiety i ich dzieci, lamentując i błagając litości.

Badaliśmy każdego skrupulatnie wobec świadków, od których X. Tomaszewski⁷⁸, proboszcz ze Strawczynka, złą już bardzo wówczas opinią jako kapłan i Polak posiadający, dostawiony również przez kawalerję - musiał przysięgę odbierać. Okazało się, że tu tylko jedenastu z będących na liście komitetu centralnego się znajdowało; reszta zaś uszła daleko, w bory.

Gdy się wieczór przybliżał i zabawy dosyć już mieliśmy; przeto pożegnawszy się serdecznie z miejscowymi patryotami, wyruszyliśmy ze śpiewami:

- Gdy naród na pole wystąpił z orężem i t. d.

Pani Kołłatajowa, gdyż on już się więcej nie pokazał, błagała, aby mogła ujrzeć rozwinięty nasz sztandar, który po okazaniu go obywatelstwu patriotycznemu schowaliśmy do pokrowca napowrót.

Lecz Czachowski krzyknął oburzony swym marsowym głosem:

- Zdraycy kraju nie mogą oglądać sztandaru polskiego, bo go swoim wzrokiem splamiliby.

Po czym ruszyliśmy ostrożnie, gdyż dano znać, że dwa tysiące przeszło chłopstwa z tych dóbr miało się zacząć w lasach, Mniów od nas oddzielających, uzbrojonych w kosy, cepy, widły, aby napaść na nas niespodziewanie i odbić schwytych zbrodniarzy; tem więcej, że traf zrządził, iż właśnie ci jedenastu, byli to rzeczywiście najwinniejsi ich herszci.

Bolesna też myśl towarzyszyła temu naszemu marszowi, że może lada chwila będziemy zmuszeni utopić broń naszą w piersiach ciemnych i wyrodnym ziomek, niemniej przeto naszych własnych braci. Żpiewy też nasze zaraz po za wsią umilkły.

Daliśmy sobie jednak słowo wszyscy, nie wyjmując włościan, którzy w szeregach naszych walczyli, że jeżeli okaże się prawdą co dowódcy naszemu o tym napadzie wyrodnym włościan doniesiono, a ci spróbują napad wykonać; to śpiesznie rozsypawszy się, otoczmy cały ich tłum, i takowy w pień wytniemy. Chłop musi być takim samym patryotą jak i każdy uczciwy człowiek.

Odetchnęliśmy też swobodniej, gdy rzeczony lasy minęliśmy, nie spotkawszy nikogo.

Przeszedłszy Mniów, poszliśmy na wschód, i lasami maszerując, doszliśmy do lasów rządowych, pod zarządem nadleśnictwa Samsonów zostających; tu prowadzonych jedenastu hersztów powieszono na prawo przy drodze w rzadszym lesie, w półkole.

Był to odwet za moskiewskie wieszania a głównie przez lud wymagany.

Reszcie i księdzu zaleciwszy, aby nadal jako dobrzy Polacy się zachowywali -

⁷⁸ Ks. Tomaszewski w czasie swoich kazań wzywał chłopów, by nie słuchali rozkazów *buntowniczego rządu*. Zalecał łapać powstańców i odstawiać ich na odwach rosyjski do Kielc. Ponadto zorganizował szajkę szpiegowską we współpracy z Żydami.

darowano życie. Ułaskawieni zmiatali jakby na nowo odżyli.

Upewniwszy się, że powieszani nie żyją, skręciliśmy teraz na północ i wciąż idąc borami, około godziny 12 w nocy, doszedłszy wierzchołka gór Krasnowskich, drożyną leśną, z zachodu na wschód biegnącą, mieliśmy na wchód maszerować; gdy szpica kawaleryjska dała nam znać, że dostrzegła przy księżycu z po za chmur dwóch stojących na wedecie kozaków, o jakie kilkadziesiąt kroków za- ledwie, z prawej i lewej strony, i że ci, choć ją widzieli, żadnego znaku życia nie dawali, lecz stoją w miejscu konno jak wryci.

Widocznie groza naszej sławy sparaliżowała kozaków; pomaszerowaliśmy więc dalej na północ, wiedząc, że będą milczeć teraz jak zakłęci, w obawie przed sądem wojennym. Kozacy udawali, że nas nie widzą, chociaż my się wszyscy dobrze im przypatrywali.

Zaledwie szpica uszła paręset kroków borem, zwróciła się w prawo, i my za nią, równolegle do drożyny; gdyśmy zaś uszli z jakie ćwierć mili, zawróciliśmy jeszcze więcej w prawo, i wyszliśmy z powrotem na przekroczoną drożynę, na której były ustawione wedety kozackie; gdyż Czengiery czatował na nas na południe od tego punktu, a na północ od Samsonowa. Około godziny 2 po północy, doszedłszy do jakiejś pustej chaty, obok drożyny tej leżącej, położyliśmy się w szeregu, pokotem; i mimo mroźnego wiatru, na tej wysokości panującego, obstawieni wedetami, bez niecenia jakichkolwiek ognisk, znużeni usnęliśmy. O 4 rano, dnia 23 kwietnia, poszliśmy dalej w tym samym kierunku, maszerując wciąż wierzchołkami gór Odrowążkich i Blizińskich, z poprzednimi bezpośrednio się łączących. Około zaś godziny 9 r., spoczęliśmy na ich kończynach wschodnich a na zachód od Suchedniowa, po nad traktem bitym z Radomia do Kielc, zmoczni obficie deszczem. - To wyliczanie stacji przemarszu, da wyobrażenie o naszych marszach i wytrwałości powstańców.

O godzinie 10 r. przybył do naszego obozowiska były major Ignacy Dawidowicz⁷⁹, wraz z dwoma b. junkrami (kadetami), wyszłymi do powstania, z pułku w Piotrkowie: Gromejką i Rudowskim⁸⁰; oni zawiadomili dokładnie Czachowskiego, o losie oddziału majora Zawadzkiego⁸¹, w którym służyli dotąd. - Od nich się dopiero dowiedzieliśmy, że szpiegami, którzy zawiadomili Moskwę o miejscu formowania się jego a następnie naprowadzili wrogów, byli: dróżnik z Sielpi wraz ze swą żoną, ten sam właśnie, który w d. 21 kwietnia został przez nas powieszony.

Junkrów powyższych, Czachowski, przyjął do swego oddziału; lecz Dawidowiczowi oświadczył, z widoczną jakąś wówczas dla mnie niepojętą niechęcią, że nie ma dlań miejsca w swoim oddziale, po czym tenże natychmiast się oddalił.

Organizacja dostarczyła nam jakąś nędzną krowę, którą zabito; a gdy krupy

⁷⁹ Ignacy Dawidowicz (1816 – 1873), urzędnik Biura Zarządu Okregu Wschodniego w Suchedniowie. Po przeprowadzeniu ataku na Bodzentyn w noc 22/23 stycznia walczył później u Langiewicza, a następnie trafił do zgrupowania Czachowskiego. Stąd zaś przeszedł w Lubelskie. Po upadku powstania emigrował.

⁸⁰ Jan Rudowski (1842-1905) z placu boju schodził jako jeden z ostatnich, bo na początku maja 1864 r. Emigrował do Francji, skąd wrócił do Galicji.

⁸¹ Hipolit Zawadzki (ok. 1824 -1863) urzędnik zakładów górniczych w Okregu Wschodnim. Za udział w spisku w 1846 roku został wcielony do karnej służby do Korpusu Orenburskiego. W stopniu podoficera uzyskał uwolnienie w 1856 r. Po powrocie do kraju został zarządcą dóbr ziemskich Krasna, Zoorganizował oddział ok. 400 z ochotników, których szkolili zbiegli z garnizonu piotrkowskiego Bronisław Gromejko i Jan Rudowski. W czasie jednej z bitew został ranny i dostał się do więzienia kieleckiego. Zmarł w wyniku odniesionych ran w 1863 roku.

mieliśmy z Wólki Kluckiej, przeto spożyliśmy jaki taki obiad.

O godzinie 5 po południu, wciąż przez deszcz moczeni, spuściliśmy się do Suchedniowa; a dla uczczenia jego zgliszcz, gdzie niegdzie, o ile te były poprzednio własnością prywatną, już odbudowujących się na nowo, z rozwiniętymi sztandarami i śpiewem patriotycznym naszych marszów, wśród nawałnicy, która nagle spadła, przeszliśmy.

Przeciagnawszy przez spaleniska, wydzielono oddział Markowskiego czyli dawny Łopackiego⁸², który dostał rozkaz: wraz z dodaną mu kawalerją, dawniejszą Stamirowskiego, maszerować przez Berezów, Jędrów, Michniów, lasy Wąchockie a w okolicy Wierzbnika, przejść Kamiennę, i na noc zająć stanowisko po nad Brodami i Starachowicami, w lasach Iłżeckich, dawniej przez oddział Grelńskiego zajmowane. Oddziały Czachowskiego i Kononowicza, pomaszerowały traktem ku Wąchockowi, aż do Parczowa. Tu znów, Kononowicz, dostał rozkaz, pomaszerowania na zachód od Wąchocka; przejść na lewy brzeg Kamiennej, i lasami na północ od tego miasta, dążyć również do puszczy Iłżeckiej, i zająć w niej obóz pod Lipiem. - My zaś, z Parszowa⁸³, pociągnęliśmy polami na południe, do prawie już odbudowanego Wąchocka; a po pod lasami, od tej strony miasta położonemi, obeszlśmy takowy, i na wschód tegoż, w lasach, przekroczywszy również rzekę Kamiennę, weszliśmy do lasów łączących się z rzeczoną wyżej puszczą; i w nocy zajęliśmy pośrednie pomiędzy obydwoma oddziałami stanowisko, w którym już w dniu 12 bm. obozowaliśmy.

W dokonanym tym przemarszu, tylko na Markowskiego dragoni pod Michałowicami uderzyli z tyłu; lecz gdy należyty im dał odpór, cofnęli się natychmiast, nie wyrządziwszy mu żadnych strat.

Kawalerją tylko Stamirowskiego, porozumiawszy się ze swym lekko rannym, dawnym dowódcą, zniechęcona ciągłemi marszami, głodem i wymaganą od niej karnością, a do czego dotąd wdrożoną nie była - korzystając z pierwszego wrażenia jakie strzały dane przez dragonów, na tyłach oddziału, niespodziewanie wywołały: drapnęła znów w las, i więcej się już nie pokazała, bo pogalopowała w miejsce, wskazane przez poprzedniego jej dowódcę.

W dniu 24 kwietnia, do dnia, wyruszyliśmy na północ, do obozu pod Lipie, który Kononowicz za porozumieniem się z naczelnikiem tegoż dnia opuścił, udając się również na północ, do dawniejszych swoich obozowisk w lasach Zwoleńskich i puszczy Kozienieckiej.

Zaledwie zajęliśmy obóz, gdy musieliśmy zeń wystąpić i rozwinawszy się w tyraljery, dążyć na pomoc Markowskiemu, którego Moskale w obozie zaatakowali.

Lecz gdy dzielny ten oficer karności oddziału i służby obozowej ściśle pilnował, przeto wedety wcześniej dostrzegły nieprzyjaciela; oddział zaś natychmiast energicznie go, wkraczającego do lasu, powitał. Gdy ujrzał przeważne siły, baczenie korzystając z zasłony drzew, wgląb puszczy z ogniem w tył się cofał, dając Czachowskiemu znać o ataku Moskwy i żądając pomocy.

Moskale, widząc ten porządny odwrót i obawiając się zasadzki, nie wyrządziwszy prawie żadnych szkód a sami je ponieśli, i to dość znaczne, spieszenie się z puszczy cofnęli. My zaś razem już wróciliśmy, i zajęliśmy obóz pod Lipiem, w którym spokojnie resztę dnia tego i noc przebyliśmy.

⁸² Po śmierci Łopackiego dowództwo nad oddziałem przejął Markowski.

⁸³ Parszowa.

W dniu 25 kwietnia, dodnia, poszliśmy na południowy-wschód. Dzień był mglisty, wilgotny bardzo, z innym przejmującym powietrzem. Około godziny 10 r. zeszedliśmy się ze szczątkami oddziału niegdyś Turkiettego, pod wsią Bąkową, na błoni. Ztąd rozeszliśmy się wkrótce po chwilowej, na boku gwałtownej sprzeczce pomiędzy Czachowskim a majorem Turkiettym⁸⁴ oraz niejakimi Sadowskim, zawadając, wcale powierzchowności wojskowego nie posiadającym, o zbyt wstrętnej fizjonomji, co widać było szczególnie z ruchów i grożenia jego pięścią ku naszemu oddziałowi, gdyśmy się znacznie od niego już oddalili. Gniew tego na zbyt ordynarnego człowieka na naszego dowódcę pochodził ztąd, że tych zuchów, gdy rozkazom jego się nie chcieli poddać, kazał, aby niekarne swe szczątki rozpuścili lub ustąpili z województwa, i nie objadali darmo mieszkańców, gdy się bić nie chcą. Pociągnęli oni na północ, a przy znikaniu dopiero w niedalekich lasach, pogroźki powyższe nam przesłali.

Na emigracji, w r. 1866, w Szwajcarji, spotkałem pierwszego; w r. zaś 1869, we Lwowie, drugiego, obu już pułkownikami się tytułującymi; a ostatni nawet, podobno aż Generałem się mianował. Kto zaś, kiedy i za co, nadał im powyższe tytuły - to wypadki r. 1863 milczą o tem; w naszym bowiem województwie, ani śladu ich jakiegokolwiek działania niepodobna było natrafić lub słyszeć. Zdaje się, że podkomendnym ich naprzykrzyło się próżniacze pod ich komendą życie, i ci porzuciwszy swych dawnych wodzów, do oddziałów Kononowicza i Jankowskiego przeszli.

Odpocząwszy, pomaszerowaliśmy dalej w pierwotnym, północno-wschodnim kierunku.

Przeszedłszy trakt bity, z Radomia do Zwolenia, podczas ulewnego deszczu, na polanie wśród borów, spotkaliśmy się z oddziałem Kononowicza tu obozującym; przeczekawszy takową, udaliśmy się z tego punktu na zachód lasami, i wśród ciemności zajęliśmy na nocne leże wieś Suchę, o mil dwie od Radomia, na wschód w borach położoną, której patrijotyczni a zamożni włościanie z całą gościnnością nas przyjęli i pożywili; - rzecz prosta, nic od nas nie biorąc.

Dnia 26 kwietnia, do dnia, gdy ciemność jeszcze panowała, wyruszywszy z tej wsi, pomaszerowaliśmy na północ lasami, do wsi Jedlni, gdzie nas znów, gościnni włościanie, śniadaniem około godziny 7 rano uraczyli. Odpocząwszy trochę, podążyliśmy ztąd puszcza na południo-wschód, a około godziny 2 popoł. do wsi Czarnej przybywszy, zastaliśmy tam znowu oddział Jankowskiego, właśnie wtej chwili obiadujący. przygotowanym obiadem podzieliły się oddziały, których towarzysze przy wspólnem spożywaniu, bliższą znajomość z sobą dopiero zabrali; a dowódcy ułożyli plan dalszego działania, dopóki oddział rzeczony będzie potrzebował zorganizować swe siły na terytorjum naszego województwa. Po godzinie 4 popoł. wyruszyliśmy ztąd lasami ku Zwoleniowi, z którego znów załoga moskiewska, na samą wieść zbliżania się naszego, zwyczajem swoim umknęła pospiesznie za Wisłę, do Puław.

Wieczorem zajęliśmy opuszczone przez :Moskwę miasto, lecz nie stanęliśmy w nim na kwaterach; ale sformowawszy kare w rynku, położyliśmy się na bruku, i tak przenocowali, mimo zimnego a bardzo dżdżystego powietrza.

Na drugi dzień od tego dostałem nieopisanego bólu zębów.

Z Czarnej, Jankowskiego oddział, pomaszerował w lasy: Myślenickie, i w nich przenocował.

⁸⁴ Stanisław Turkietti na początku powstania zorganizował oddział w Puszczy Kozienickiej, a później podporządkował się Czachowskiemu.

Po spożytym przez nas w Zwoleniu, dnia 27 kwietnia, śniadaniu, rano, wymaszerowaliśmy ciągnąc na południe, przeważnie otwartymi polami, a dobrze po południu zajęliśmy miasteczko Lipsk, - pamiętne bitwą korpusu Samuela Różyckiego w r. 1831, w którym stanęliśmy na kwaterach. Cały dzień, 28 kwietnia, staliśmy w tym mieście, poświęciwszy go musztrze, zwłaszcza, że mieliśmy dość świeżych zupełnie towarzyszy. A w dniu 29 kwietnia, przed południem, opuściliśmy to miasto maszerując niby z niego na północ; gdyśmy uszli około $\frac{3}{4}$ mili, zrobiwszy zwrot w lewo, pociągnęli również ze $\frac{3}{4}$ mili z tego punktu na zachód i znów, przez wykonanie zwrotu w lewo, pomaszerowaliśmy na południe około jednej mili; tu znowu obrotem w lewo podążyliśmy blisko $\frac{3}{4}$ mili maszerując na wschód, a- następnie na południowy-wschód, mijając w tych marszach wioski. Wieczorem nakoniec stanęliśmy obozem u stóp jakichś wzgórz z lasem okrytych, na małej dolinie, tu się znajdującej, w pobliżu jakiejś gorzelni, do dóbr Daniszewice na leżącej, i bez ognia, mimo przykrego zimnego wiatru po dość gorącym około południa dniu, przenocowaliśmy. Dnia 30, po ugotowaniu w kotłach śniadaniu, całe rano znów trwała musztra.

Dolnicki nam, strzelcom, wykładał praktycznie sposób formowania łańcucha tyraljerskiego, według regulaminu armji włoskiej, i prowadzenia go naprzeciw nieprzyjaciela. Po południu zaś pomaszerowaliśmy dalej, i na noc zajęliśmy małe miasteczko, Gliniany, w którym stanawszy po kwaterach przenocowaliśmy. A w dniu 1 maja wymaszerowaliśmy z tej małej miejsciny, i około godziny 10 r. zajęliśmy miasto Solce, położone nad samą Wisłą. przy samem wejściu powitał nas tu deszcz ulewny, i resztę dnia 1 oraz cały 2 maja padając nawalnie, prawie bez ustanku zmusił pozostać na kwaterach.

Ztąd Czachowski z częścią naszej kawalerji, przeprawiwszy się na promach przez Wisłę, otoczył naprzeciw leżący magazyn rządowy, z którego trochę soli sprzedał na potrzeby oddziału. W dniu 3 maja, przededniem, gdy wypogodziło się, opuściliśmy Solec, a maszerując na południe, przez Rajskie, Pawłowską Wolę, pamiętną bitwą Karola Różyckiego w r. 1831, zajęliśmy miasteczko Tarłów, aby uroczystością nabożeństwem uczcić pamiętny ten dzień w dziejach narodu naszego. Zawiadomiona przez organizację o tem szlachta i lud okoliczny, tłumnie napełnili kościół parafjalny. Jankowski maszerujący za nami, po prawej stronie, wydelegował do nas dwie kompanje piechoty z kapitanami: Zameczkiem i Zielińskim.

O godzinie 11 r. rozpoczęła się uroczysta suma. Do wnętrza kościoła wstąpili tylko kosynjerzy i spieszni kawalerzyści, ile ich po wyprawionych do pełnienia służby obozowej zewnętrznej pozostawało; wszyscy zaś z bronią palną otoczyliśmy na około, wewnątrz murów cmentarza kościół, po wschodniej stronie zbudowany na zewnątrz miasta, i stojąc pod bronią asystowaliśmy nabożeństwu. Gdy nam dano sygnał, po skończonej Ewangelji, dwie kompanje jednocześnie w górę wypaliły ze swej broni. Przed podniesieniem, drugie dwie, to samo uczyniły. A po podniesieniu, trzecie dwie. Po ostatniej Ewangelji, czwarty raz wypaliły pierwsze dwie kompanje.

Tym sposobem przestrzeliliśmy broń, która podczas poprzednich naszych marszów od częstej wilgoci i ulewnych deszczów łatwo mogła była zamoknąć, a wiedzieliśmy, że załogi moskiewskie wyruszyły już znów na nas w pole, i lada chwilę przyjdzie nam zmierzyć się z nimi. Nie zmarnowaliśmy przytem amunicji, bo uczciliśmy nią ten uroczysty dzień. Po skończonym nabożeństwie, mieszkańcy gościnnie nas uraczyli, i w towarzystwie ich resztę dnia powyższego przepędziliśmy bardzo wesoło.